Luty 2020

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

249

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE"

KURS 2018/2019

Długo zastanawiałem się nad tym, od czego zacząć opis tego kursu. Z jednej strony dla Koła być może po prostu kolejnego kursu, lecz z drugiej strony dla kogoś, kto wziął w nim udział, wydarzenia, które pozostawia niezacieralny ślad na duszy, a często zupełnie odmienia życie. I wiecie, co mądrego wymyśliłem? Że zacznę od początku (tak, wiem, mądrość to ogromna). Na początku tak jak i w mitologii greckiej był chaos. Z chaosu wyłonili się niczym Uranos i Gaja – pierwsi (i ostatni) rodzice tego kursu. I w tym momencie podobieństwo początków się kończy. Okazało się, że będą to dwie mamy, w dodatku żadna z Matek nie zrzucała swych dzieci do dolin, wąwozów ani Tartaru. Tak więc z chaosu wyłoniły się Dagmara i Ewa – dwie perły beskidzkiego przewodnictwa, które miały w sobie na tyle mentalnych cojones, że postanowiły wziąć na swe barki wychowanie wielodzietnej rodziny (i to bez żadnych zachęt finansowych!). To od nich wszystko się zaczęło, a przynajmniej ta część historii kursu, Koła, Polski, Ziemi i wszechświata, na temat której przyszło mi popełnić ten tekst.

Sam kurs rozpoczął się wykładem inauguracyjnym w środę 28.02.2018 r., na którym pojawiło się ponad 50 osób zainteresowanych jego rozpoczęciem. Ostatecznie wziąć udział w tej przygodzie zdecydowało się przeszło 30 osób. Pierwszy – już merytoryczny wykład dla kursu poprowadziła Patrycja Michałowicz (Gonzo), która przybliżyła kursantom tajniki pracy z mapą oraz terenoznawstwa.

Pierwszy wyjazd odbył się w Worku Raczańskim z noclegiem w Danielce, a poprowadził go Zbyszek Drapała wraz Kursowymi Matkami. W czasie trwania kursu odbyły się prawdopodobnie (obym był lepszym przewodnikiem, niż jestem matematykiem): 43 wykłady teoretyczne oraz 33 wyjazdy praktyczne – w tym m.in dwie autokarówki (wschód i zachód), dwa obozy (Bieszczady, Beskid Niski) oraz wyjazd fakultatywny poprowadzony przez Stacha w Karpatach Wschodnich (Połonina Krasna, Świdowiec, Czarnohora). W czasie trwania kursu odbyło się także wiele spotkań i imprez towarzyszących, np. poszukiwanie zaginionego buta na Pietraszonce czy zabawa „Szpaler Lip" w Niedźwiedziu. Sam kurs dzięki świetnej organizacji dobiegł końca, a kto się zawziął, uparł i przebrnął przez 22 egzaminy teoretyczne, ten dotrwał do kończącej kurs serii wyjazdów powtórkowych (w ilości 3) oraz wyjazdów samodoskonalących, w tym między innymi dzięki pomysłowości komisji egzaminacyjnej wycieczka do Zakopanego (do Gorlic już chyba nikt z kandydatów na Harnasia nie dojechał). Ostatecznie ani Zakopanego, ani Gorlic na egzaminie odwiedzić się nie udało, a szkoda. Ulubionym miejscem gastronomicznym kursu został Browar Rzemieślniczy Krajcar w Żywcu (z drugą placówką w Węgierskiej Górce). Ulubionym prowadzącym tego kursu stał się każdy, kto poprowadził wykład lub wyjazd tudzież w inny sposób przysłużył się sprawie, a ulubionym współkursantem został każdy, kto partycypował z nami w tej przygodzie, gdyż każdy z Was, drodzy Harnasie, prawie Harnasie, wkrótce Harnasie, przyjaciele Harnasi, miłośnicy Harnasi był niezmiernie ważnym elementem naszej drogi. Każdy z Was już na zawsze zapisał się na kartach tej pięknej historii, a pamięć o Was i Waszych dokonaniach będzie żyła tak długo, jak długo wiał będzie w Beskidach wiatr, wiatr, który niósł będzie te wszystkie opowiadane historie, których byliście częścią.

Paweł „Kleryk" Pękacz

GREEN VELO: BIAŁYSTOK - LUBLIN

W czerwcu 2019 roku wybraliśmy się na kolejny, czwarty już odcinek szlaku Green Velo w takim samym składzie osobowym jak rok wcześniej. Trasa wynikała w dużej mierze z możliwości komunikacyjnych. Wystartowaliśmy w Białymstoku, a skończyliśmy – jak przed rokiem – w Lublinie. Punktem przesiadkowym z samochodów do pociągu była Warszawa.

Pierwszy nocleg wypadł nam w białostockim hostelu „Sweet Dreem" znajdującym się tuż obok kościoła św. Rocha, pod tym samym adresem co... dom pogrzebowy. Zakłady tego typu jakoś dziwnym trafem rzucały nam się w oczy na dalszej trasie dość często, ale pewnie dlatego, że jest to biznes, który wszędzie się opłaci.

Sobotnie popołudnie wykorzystaliśmy na rowerowy spacer po mieście, w którym odbywało się wiele imprez i koncertów. My też mieliśmy małą imprezę – imieniny Joli – które uczciliśmy lodami w kawiarni i butelką wina zakupioną w „Planecie alkoholi".

W niedzielę Jola – co nie jest zbyt częste – wstała jako pierwsza, po godz. 6:00, by zdążyć do kościoła. My obejrzeliśmy kościół św. Rocha z jego bardzo ciekawą, modernistyczną architekturą nieco później. Musiałem też uwiecznić znalezioną przez Jolę w jednym z ołtarzy rzeźbę św. Jolanty.

Zanim wyjechaliśmy na szlak, musieliśmy jednak przeczekać dość solidną burzę. Celem niedzielnej trasy była Białowieża. Po drodze nie było wielu atrakcji krajoznawczych, ale obejrzeliśmy cerkiew i kościół w Narwi, zajrzeliśmy do prawosławnego Skitu w Odrynkach. Jak się okazało, założyciel skitu ojciec Rafał zmarł jesienią ubiegłego roku i obiekt jest obecnie niezamieszkały. Na obiad zatrzymaliśmy się w Narewce. A potem ostatnie 20 km i pod wieczór, po przebyciu prawie 100 km dotarliśmy na kwaterę do Białowieży. Jak na pierwszy dzień – całkiem sporo, ale daliśmy radę.

Ponieważ Białowieżę zwiedzaliśmy już 3 lata temu, teraz rzuciliśmy tylko okiem na cerkiew z ciekawym ikonostasem z chińskiej porcelany oraz park pałacowy i pojechaliśmy dalej. Od zagrody żubrów do szlaku zrobiliśmy dość terenowy skrót pieszym szlakiem, a potem ruszyliśmy asfaltem w stronę Hajnówki. Po drodze wstąpiliśmy do niezaplanowanego obiektu – miniskansenu w Budach, który można było obejrzeć samodzielnie i bez opłat.

Hajnówkę minęliśmy niechcący bokiem. Kolejnym miejscem postoju były Dubicze Cerkiewne, gdzie obejrzeliśmy drewnianą cerkiew i izbę tradycji ulokowaną w starej chałupie. Ten odcinek GV można by nazwać szlakiem drewnianych (i murowanych) cerkwi, gdyż oglądaliśmy ich po kilka dziennie.

Oglądamy miniskansen w Budach za Białowieżą.

Na obiad zatrzymaliśmy się w Kleszczelach – miasteczku szczycącym się nadaniem praw miejskich przez Zygmunta Starego. Tego dnia obejrzeliśmy jeszcze zabytkowy parowóz Tp4 w Czeremsze, a potem zaczął się koszmarny, 15-kilometrowy odcinek szlaku prowadzący piaszczystą szutrówką z poprzeczną „tarką". Twórcy GV nie popisali się tutaj. Nawet na górskim rowerze z amortyzacją pokonanie tego odcinka było mordęgą, natomiast dla użytkowników rowerów trekingowych lub osób jadących np. z dziećmi trasa jest niemal nieprzejezdna. W Rzeczycach mieliśmy kolejny nocleg na zaklepanej telefonicznie, dzień wcześniej kwaterze.

A kolejnego dnia odpuściliśmy GV na odcinku Rzeczyce – Grabarka, wyczytawszy w necie, że jest podobnej klasy jak końcówka poprzedniego dnia i pojechaliśmy szosą. Tuż przed Grabarką Janusz miał pecha, gdyż urwał mu się uchwyt do smartfona i spadł wprost pod koła. Niestety telefon nie wytrzymał i odmówił dalszej współpracy.

Góra Grabarka jest najważniejszym miejscem kultu religijnego wyznawców prawosławia w Polsce. Wokół cerkwi pielgrzymi zostawiają krzyże, których co roku przybywa.

cd. str. 2

Po zwiedzeniu Grabarki pojechaliśmy w stronę Mielnika – ciekawego miasteczka położonego nad Bugiem. Tu obejrzeliśmy oczywiście cerkiew, widok na dolinę Bugu ze wzgórza zamkowego, na którym pozostały ruiny kościoła oraz odkrywkową kopalnię kredy, która nadal funkcjonuje. Upał kazał nam również poszukać knajpki w celu uzupełnienia płynów. Tu należy wspomnieć o postanowieniu Janusza, który zupełnie nieracjonalnie ustanowił sobie na czas wyjazdu okres abstynencji. Widząc jednak zimny, złocisty napój stojący przede mną, codziennie udzielał sobie dyspensy na co najmniej 1 piwo.

Nadbużański szlak rowerowy nie jest zbyt często używany.

Po wyjeździe z Mielnika zaliczyliśmy wpadkę i nadłożyliśmy dobre 15 km. Swoją drogą była to nie tylko nasza wpadka, ale też kolejna wpadka GV. Za Mielnikiem szlak wiedzie bowiem do Niemirowa, gdzie jest przeprawa promowa przez Bug. Gdy tam przybyliśmy, okazało się, że prom nie działa do odwołania. Po telefonie do UM w Mielniku okazało się, że musimy wrócić do Mielnika, gdzie jest czynna przeprawa. Na szlaku zabrakło niestety wyraźnej informacji o tym fakcie.

Tego dnia postanowiliśmy zakończyć trasę w Janowie Podlaskim po „zaledwie" 77 km. W Janowie zwiedziliśmy najpierw... stację benzynową Orlen, gdzie można podziwiać odrestaurowane, zabytkowe dystrybutory benzyny.

Kompleks cerkiewno-klasztorny w Jabłecznej.

Z gastronomią natomiast nie jest w miasteczku najlepiej. Po rozmowie z tubylcem, który okazał się zabrzaninem, dowiedzieliśmy się, że jedyna knajpka jest w stadninie. Nasz rozmówca polecił nam też kwaterę znajdującą się w połowie drogi do stadniny. Wprawdzie na kwaterze nie zastaliśmy nikogo, ale po wykonaniu telefonu dowiedzieliśmy się od gospodyni, gdzie mamy się zakwaterować. Po zostawieniu bagaży podjechaliśmy do stadniny. Wjazd na jej teren okazał się płatny (4 zł), ale za to pan strażnik załatwił nam telefonicznie obiad w restauracji, która w zasadzie była już nieczynna, a której specjalnością są różnego rodzaju pierogi.

Kolejnego dnia zwiedziliśmy Pratulin z sanktuarium poświęconym zamordowanym przez wojsko rosyjskie w 1874 r. unitom. Zaliczyliśmy też odcinek Nadbużańskiego Szlaku Rowerowego – jako alternatywę dla GV, który miejscami okazał się słabo przejezdny – piachy i zanikające ścieżki. Potem obejrzeliśmy jeszcze dla odmiany od cerkwi... czołg T34 postawiony na pamiątkę przeprawy przez Bug w czasie II wojny św.

W Terespolu, który jest typowym miasteczkiem przygranicznym, zwiedziliśmy trochę zarośnięty trawami Fort Łobaczew, stanowiący jeden z obiektów Twierdzy Brzeskiej. Kolejny fort na wylocie z Terespola był niestety niedostępny.

W Kostomłotach obejrzeliśmy cerkiew św. Nikity Męczennika – Sanktuarium Unitów Podlaskich. Niestety nie udało nam się obejrzeć wnętrza cerkwi. Na nocleg zajechaliśmy na kwaterę o intrygującej nazwie „Dolina Zapomnienia" w Kodniu. Pod wieczór pojechaliśmy jeszcze zwiedzić sanktuarium Matki Bożej Kodeńskiej wraz z kalwarią na terenie dawnej rezydencji rodu Sapiehów.

Ważnym punktem następnego dnia był kompleks cerkiewno-klasztorny w Jabłecznej. Mieliśmy szczęście być oprowadzeni przez miejscowego księdza, który początkowo zachowywał pewien dystans, ale w trakcie rozmowy stał się coraz bardziej otwarty i opowiedział nam sporo o historii klasztoru, a na koniec pozwolił nawet – mimo formalnego zakazu – zrobić kilka zdjęć wnętrza cerkwi.

Ponieważ na licznikach stuknęło nam już 30 km, pora była poszukać jakiegoś miejsca na kawę. Jedynym obiektem w okolicy okazała się stacja benzynowa w Lisznej. A ponieważ Janusz jako znany kawosz nie pija tego szlachetnego napoju z byle tektury, nadarzyła się znakomita okazja dla Joli, która specjalnie zabrała na wyjazd filiżankę. Zdumienie zarówno pani z obsługi stacji, jak i Janusza było warte zobaczenia.

Pięciu brodaczy w Sławatyczach.

Kilka km dalej zatrzymaliśmy się na lody w Sławatyczach, gdzie obejrzeliśmy również pomnik „Brodaczy", przy którym zrobiliśmy oczywiście fotki. Brodacze, to miejscowa tradycja świąteczna podobna do kolędników.

Tu spotkaliśmy też dwóch młodych rowerzystów z Zielonej Góry, którzy po zdaniu matury postanowili zrobić trasę dookoła Polski.

W Hannie, miejscowości reklamującej się hasłem „Zakochaj się w Hannie" obejrzeliśmy ładnie wyremontowany kościółek drewniany, a potem w Różance weszliśmy na wieżę widokową, z której można było poobserwować nie tyle widoki, co... bocianie gniazdo. Potem przeczekaliśmy krótką ulewę i minąwszy ruiny dość okazałego niegdyś pałacu w Różance, dojechaliśmy do Szuminki, gdzie mieliśmy kolejny nocleg w agroturystyce.

Po zakończeniu trasy w kolejny upalny dzień miałem ochotę napić się zimnego piwa, ale brakowało mi ochoty, aby wsiąść na rower i pojechać do najbliższego sklepu lub baru, które znajdowały się jakieś 4 km dalej, we Włodawie. I tu stał się cud, gdyż w tym momencie z pokoju wyszedł Romek, oznajmiając, że znalazł pozostawione w lodówce 2 puszki piwa. A ponieważ Romek nie jest piwoszem, Janusz natychmiast udzielił sobie dyspensy, by towarzyszyć mi w spożywaniu złocistego napoju.

Na śniadanie była natomiast jajecznica z zamówionych u pani gospodyni jajek. Tego dnia dojechaliśmy do Włodawy, gdzie spotykał się nasz zeszłoroczny i tegoroczny odcinek Green Velo.

Włodawę zwiedzaliśmy już dość dokładnie rok temu, więc teraz pozostało nam uzupełnić kilka punktów programu. Na początek odnaleźliśmy słynny wodowskaz na Bugu. Znajduje się on na końcu ul. Lubelskiej, w miejscu oznaczonym na mapach jako Zerwany Most. Sam wodowskaz to wąskie, pomalowane i wyskalowane schodki prowadzące do rzeki. Powyżej znajdują się mały budynek z urządzeniami kontrolnymi oraz wiata i tablica informacyjna.

Kolejnym obiektem do uzupełnienia była remontowana cerkiew. Remont trwa wprawdzie nadal, ale za zgodą szefa ekipy wymieniającej okna udało się obejrzeć nawet wnętrze cerkwi.

Trzecim punktem do uzupełnienia miał być trójstyk granic znajdujący się ok. 5 km za Włodawą. Minęliśmy Orchówek i gdy do celu pozostało nam ok. 2 km, asfalt zamienił się w czarną, pylisto-piaszczystą drogę, którą trudno było jechać. Po ok. 200 m Romek, Ewa i Jola zrezygnowali, ja i Janusz chcieliśmy walczyć dalej, ale gdy z przeciwka nadjechała wielka ciężarówka wzniecająca tumany czarnego pyłu, uciekliśmy na bok i zrezygnowaliśmy z dalszej jazdy.

Potem wróciliśmy na obrzeża Włodawy, zrobiliśmy zakupy i ruszyliśmy długim, prostym asfaltem drogą 818 w stronę Sosnowicy. Tym razem nie mieliśmy zaklepanego noclegu i postawiliśmy na improwizację.

Jedynym obiektem krajoznawczym na trasie miał być skansen w Holi. Liczyliśmy, że może uda się tam coś zjeść, jako że w mijanych wio-

cd. str. 3

skach nie było nawet sklepików. Skansen okazał się całkiem ciekawy, ale bezobsługowy. Obiekt powstał z prywatnej inicjatywy i jest utrzymywany przez stowarzyszenie powołane w tym celu.

Obok znajduje się drewniana cerkiew, pod którą przeczekaliśmy przelotny deszczyk.

W Sosnowicy spodziewaliśmy się co najmniej sklepu zaznaczonego na mapie. Okazało się, że obok sklepu znaleźliśmy również całkiem porządną restaurację. Był zatem całkiem niezły obiad, a na koniec, gdy spytaliśmy kelnerkę, czy nie zna jakichś noclegów w okolicy, okazało się, że nad restauracją znajdują się pokoje, które można wynająć za przystępną cenę. Nie zastanawialiśmy się długo, a po zakwaterowaniu i odpoczynku zeszliśmy jeszcze na zasłużony deser.

I byłoby super, gdyby nie to, że do 2 w nocy jakaś ekipa w sąsiedztwie naszego zajazdu hałasowała, wykonując jakieś prace remontowe.

Pozostał nam już tylko dojazd do Lublina. Zanim jednak ruszyliśmy we właściwym kierunku postanowiliśmy zajrzeć do Poleskiego Parku Narodowego nad stawy, które okrąża ścieżka przyrodnicza „Perehod". Miejsce jest na pewno urokliwe i warte dokładniejszego zwiedzenia – szczególnie dla miłośników ptaków. My wpadliśmy tu tylko na chwilę.

A potem przez Zienki, Komarówkę, Maśluchy, Krzczeń, Zezulin Pierwszy i Drugi oraz Januszówkę dotarliśmy do Zawieprzyc z ruinami pałacu i oranżerii, które oglądaliśmy też rok temu.

Na koniec, znanym już szlakiem dotarliśmy do Lublina, do FotoHostelu, który był całkiem miły – tyle, że rowery musieliśmy wtaszczyć na 4 piętro.

Wieczorem poszliśmy na obiad – tym razem do restauracji włoskiej, a potem na krótki spacer po mieście. A w niedzielę, skoro świt dotarliśmy na dworzec i przez Warszawę wróciliśmy do domów.

Jacek Ginter

KURS 2018/2019 „FAJNY"

Koniec to dobry czas na podsumowanie. Do dzisiaj pamiętam nastrój ciekawości i chęci doświadczenia czegoś nowego, jaki towarzyszył mi podczas kursowych początków. Decyzja o rozpoczęciu kursu wyznaczyła mojemu życiu kierunek na kolejne 2,5 roku,.Kurs trwa długo. I jest to bardzo intensywnie spędzony czas.

Czym był dla mnie ten kurs? Na pewno był niezapomnianą przygodą, zwłaszcza na początku. Z biegiem czasu coraz bardziej stawał się także wyzwaniem. Ciągle stanowił jednak świetną odskocznię od codzienności. Był podróżą w nowe miejsca. Przesunięciem granic mojego świata. Okazją do wielu przeżyć i poznania nowych osób. Okazją do rozwinięcia moich zainteresowań. Wyuczenia się nowego zawodu. Stania się częścią kolejnej społeczności.

Cały czas imponuje mi pasja, jaką dzielili się z nami na pierwszych wykładach prowadzący przedmioty ogólne. Na etnografii słuchaliśmy opowieści o magicznym świecie zapomnianych wierzeń i tradycji. Rozebraliśmy na czynniki pierwsze beskidzką architekturę drewnianą, która dodaje tak wiele klimatu na górskich szlakach. Słuchaliśmy o tym, jak złożone dzieje Europy odbijały się na odległych Beskidach. Odkrywaliśmy działanie świata przyrody. Zgłębiliśmy procesy, w wyniku których powstały Beskidy. Poznaliśmy sylwetki pionierów turystyki.

Pierwsze wyjazdy były okazją do poznania siebie nawzajem i rozpoczęcia powolnego oswajania się z pełnieniem roli przewodnika grupy. Poznaliśmy reguły rządzące kursowymi wyjazdami. Nasze życie nabrało szybkiej regularności. Nie byliśmy jednak wówczas świadomi tego, co w nas się powoli zmieniało. Nie zauważaliśmy doświadczenia, wiedzy i umiejętności, których przybywało nam z każdym kolejnym wyjazdem. Czasu na refleksję nie było wiele, a bez niej ciężko było dostrzec to, co daje namwędrowanie i przebywanie z ludźmi gór.

Dopiero z biegiem czasu zaczęliśmy łapać, na czym polega roztaczanie wokół siebie przewodnickiego czaru. Zauważyliśmy, że mówiąc kolegom i koleżankom z pracy rzeczy dla nas już oczywiste, możemy im nieźle zaimponować. Odkryliśmy, że będąc w jednym miejscu choćby i sto razy, możemy go tak naprawdę nie znać. Doceniliśmy świadomą wędrówkę, a ideały turystyki kwalifikowanej stały się nam bliskie. Dowiedzieliśmy się też, że opowiadanie przewodnikom o pasterstwie, o którym z takim zaciekawieniem słuchaliśmy na początku kursu, uchodzi za największy banał, a na egzaminie nie warto nawet o nim wspominać.

Z kursowych wyjazdów szczególnie dobrze wspominam te dłuższe, na których po kilku pierwszych dniach wchodziło się w zupełnie inny rytm życia. Pierwsza majówka z Juzią dała nam potężną dawkę wiedzy i poznanych miejsc. Prowadzące kurs Daga i Ewa zabrały nas w Pieniny, po raz pierwszy na kursie pod namioty. Jacek przybliżył nam burzliwą historię Bieszczadów. Maks w bardzo ciekawej formie przedstawił nam Beskid Wyspowy.

Nasz kurs stał na wysokim poziomie kulinarnym. Wspólne przygotowywanie pulpy z Robertem Zaczkiem i Jackiem Gołdą było prawdziwą przyjemnością. Często gotowaliśmy właśnie w tym zespole. Po dojściu w strugach deszczu na Halę Górową podczas naszego przejścia przewodnickiego przygotowaliśmy rozgrzewające tortille – wg prowadzącego wyjazd Staszka były to pierwsze skonsumowane tortille w historii jego wszystkich przejść przewodnickich.

Kurs to przede wszystkim ludzie. Robienie czegoś tak ambitnego jak kurs przewodnicki ściąga w jedno miejsce wiele indywidualności. Każdy, kto przewinął się choć przez kilka wyjazdów, wniósł coś od siebie do unikalnego charakteru naszego kursu. Bardzo cenię sobie przy tym, że mimo obecności dużej liczby silnych charakterów, od samego początku wszyscy bardzo sprawnie współgraliśmy ze sobą. Największą aferą na naszym kursie była niezależna od nas kradzież naszych butów, a największą spiną – otrzymana konstruktywna krytyka co do jakości fotorelacji i przekrzywionego horyzontu na zdjęciach.

W kursie doceniam też to, że dzięki niemu wróciłem do tych kart historii naszego kraju, których nie miałem okazji właściwie przepracować na lekcjach historii. Uważam, że z dziejów kontrreformacji, akcji „Wisła", Centralnych Obozów Pracy itp. jako społeczeństwo powinniśmy wyciągnąć więcej wniosków.

Kurs poszerza horyzonty. Dzięki niemu już wiem, że balneologia i drewniane cerkwie to tematy warte zgłębienia. To górskie szkolenie zmieniło także naszą perspektywę. Już wiemy, że zgłębiając tajemnice beskidzkich szczytów, nie sposób pominąć znajdujących się między nimi dolin.

Kurs to także okazja do nowych przeżyć. Herbata świetnie smakuje z dodatkiem dzikiej mięty lub pokrzywy. Są jeszcze miejsca noclegowe, które nie mają dostępu do elektryczności i bieżącej wody, ale panuje w nich za to niepowtarzalny klimat. W parze z nowymi przeżyciami szło poznawanie nowych miejsc. Dzięki kursowi bliskie stały mi się studenckie chatki i bazy namiotowe, szczególnie baza na Przysłopie Potóckim. Dobrze jest mieć miejsca, w których czuję się jak w domu.

Ciężko podsumować podsumowanie. Dlatego na koniec tej refleksji pozwolę sobie podziękować wszystkim tym, którzy umożliwili nam przeżycie tej kursowej przygody. Daga, Ewa – dzięki za odwagę do wzięcia na siebie prowadzenia tego kursu, kawał dobrej pracy i każde dobre słowo! Dziękuję wszystkim prowadzącym wyjazdy kursowe i wykłady, wszystkim egzaminatorom, komisji szkoleniowej oraz wszystkim Harnasiom, którzy byli z nami na wyjazdach kursowych.

Piotr Ścigała

TO BYŁO

✔ 23.01 Pecha Kucha – zebranie z prezentacjami zdjęć z wakacji i nie tylko.

✔ 25.01 na Hali Miziowej dwaj Harnasie – Staszek Wierzchowski i Damian Nakonieczny zdali egzamin wstępny do Grupy Beskidzkiej GOPR. Egzamin obejmował część narciarską oraz topograficzną. Zdało 15 osób z około 40 podchodzących. Gratulacje!

✔ 7–9.02 Rajd Zimowy z metą w Danielce.

✔ 14–16.02 w schronisku Szwajcarka w Sokolikach odbyła się impreza urodzinowa Kasi Jamróz, w której uczestniczyli krewni i znajomi Kasi, w tym grupa Harnasi. W sobotę zrobiliśmy spacer na biegówkach z Jakuszyc do Orlego (niektórzy, m.in. Redakcja debiutowali w tej dyscyplinie), a wieczorem bawiliśmy się przy dźwiękach zespołu szantowego z Tychów „Lej na pokład" zwanego Lejkami. Prócz Redakcji z małżonką udział wzięli: Kolczasta, Łysy z córką, Paskuda i Darek, Janusz Mroczek.

TO BĘDZIE

❋ 29.02 – 1.03 Blachowanie w Koszarawie.

❋ 4.03 startuje Kurs Przewodnicki SKPG Harnasie 2020/21. Kurs poprowadzą Iza Dyrlaga, Michał Kulanek i Kamil Ziętek.

❋ 21–22.03 Rajd Na Powitanie Wiosny.

❋ 28–29.03 Kwadratlon w Chatce AKT na Pietraszonce organizowany przez nasze Koło.

❋ Urząd Marszałkowski wyznaczył termin egzaminu państwowego na 17.04 (część teoretyczna) i 24–25.04 (część praktyczna), egzamin na podwyższenie klasy odbędzie się 12, 15 i 16.05.

BLACHOWANI 2020

O pierwszej trójce nowo blachowanych napisano kiedyś (Mammuthus nr 220) takie słowa: „Koło jeszcze nie jest gotowe do zdzierżenia ich poczucia humoru i przyjęcia ich w poczet członków… Dlatego egzaminatorzy, drżyjcie, bo Oni dadzą wam popalić…”. Słowa te okazały się prorocze i tak 29 numerów później na kartach Mammuthusa znów się o nich pisze:

Paweł Pękacz, blacha 414

Przyszedł na kurs, by zostać przewodnikiem, a przy okazji został Klerykiem (choć w rzeczywistości na co dzień zamiast czerni przywdziewa biel, a zamiast posługi duszpasterskiej pełni posługę farmaceutyczną). Może to dlatego, że tak dobrze mu z oczu patrzy, a może dlatego, że na jednym z wyjazdów poprowadził grupę pod wezwaniem Harnasia – ot przyczyna niedocieczona. Miłośnik botaniki znający wiele oficjalnych oraz tych mniej oficjalnych zastosowań różnych roślin. Jego apteczka mieści zawsze leki na każde zło. Wielki orędownik mało znanego nurtu muzycznego jakim jest Disco Łemko Polo (podróże Klerykowozem przy dźwiękach tej muzyki stały się już legendą). Dał się poznać jako wielki kawosz oraz specjalista w dziedzinie orlenologii terenu uprawnień, a także jako wspaniały towarzysz podróży, które są jego ogromną pasją.

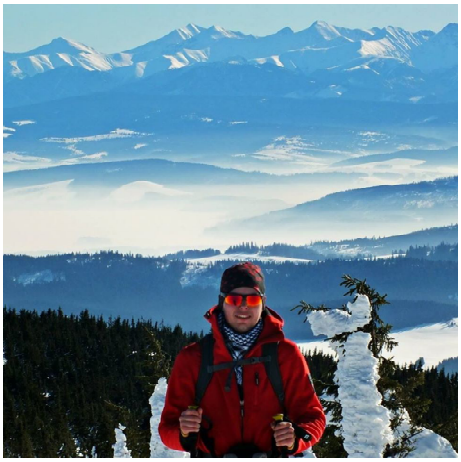

Robert Zaczek, blacha 415

Znany również wśród swoich ziomków jako Carlos. Przed laty zacięty piłkarz, dzisiaj równie zacięty wędrowiec górski. Fachowiec pod każdym względem. Swoją pasję do gór tłumaczy połączeniem wysiłku dla sportu, żeby zmęczyć się fizycznie i relaksem dla odpoczynku psychicznego. A propos odpoczynku, to Robert gustuje w nie byle jakich miejscach noclegowych, gdzie można poczuć prawdziwy górski klimat przy dźwiękach gitary i mocnych trunkach pitych w doborowym towarzystwie. Na pierwszy strzał takim miejscem jest bacówka PTTK na Rycerzowej, gdzie właśnie zaczęła się jego przygoda przewodnicka. Będąc wówczas na pierwszym swoim rajdzie z Harnasiami, postanowił, że musi zostać przewodnikiem. Jak postanowił, tak zrobił. Dopiął swego i teraz może się cieszyć sukcesem, bo zasłużył.

Alicja Nakonieczny (Majdak), blacha 416

Z górami związana od pierwszych dni życia. Już jako mała Ala często zachwycała się pięknem Beskidów, spoglądając przez okna rodzinnego domu w Koszarawie i marząc o dalekich podróżach. Marzyła także o tym, by zostać harcerką i być może właśnie to niespełnione marzenie oraz odziedziczona miłość do Beskidów popchnęła Alę w objęcia kursu przewodnickiego, a sam kurs w objęcia swojego przyszłego męża. Na kursie dała się poznać jako dobra dusza każdego wyjazdu, kochająca śpiewać do tego stopnia, że „czwarta nad ranem” często przychodziła zbyt wcześnie. Przez sesje egzaminacyjne przeszła szybko i skutecznie niczym przez Beskidy burza, którą sprowadza najgroźniejszy z płanetników. Prywatnie Ala spełnia się zawodowo jako lekarz, a w wolnych chwilach podróżuje po świecie, gdyż marzenia z dzieciństwa o dalekich podróżach przerodziły się w miłość do nich. Kto miał okazję podróżować z Alą, ten wie, jak wspaniałym, pełnym entuzjazmu, ciekawym świata, ludzi oraz smaków towarzyszem podróży Alicja jest.

Piotr Ścigała, blacha 417

W czasie kursu Piotr dał się poznać jako elokwentny i wygadany na każdy temat rozmówca. Jego przygotowanie do zajęć terenowych, jak i egzaminów powodowało u mnie wyrzuty sumienia. Śpiewająco zaliczał poszczególne etapy kursu i chętnie dzielił się swoimi legendarnymi już opracowaniami. Chyba wszyscy uczyliśmy się z nich do egzaminów. Na trasie kompetentny, wieczorami niezapomniany głównie ze względu na swoje wykwintne i kwieciste toasty. Pasjonat fotografii, dzielnie przygotowywał fotorelacje z każdego wyjazdu, a po zdjęcia profilowe kursanci ustawiali się do niego w kolejce. Członek kucharskiego trio, na mecie zawsze dbał o podniebienie kursantów.

Jakub Będkowski, blacha 418

Po górskich szlakach porusza się ze skocznością i tempem kozicy. W swoim plecaku na niejeden szczyt wtargał wszystkie rzeczy potrzebne na dobrą zabawę przy ognisku. I to dla całej ekipy, a nie tylko dla siebie. Dlatego jest osobą, z którą warto wybrać się na górską wędrówkę. Podczas kursu Kuba wyspecjalizował się w opowiadaniu panoram. Dzięki świetnej umiejętności rozpoznawania szczytów i szczerej pasji, z jaką przystępuje do tego zadania, nawet w przypadku pipantów, może śmiało stawać w szranki z innymi kołowymi mistrzami tej sztuki. Dziwnym zbiegiem okoliczności kursowego życia Kuba nabrał ogrom doświadczenia szczególnie w doprowadzaniu grupy po zmroku na miejsce noclegu. Na egzaminie praktycznym Kuba wykazał się znajomością trudnego nawigacyjnie i rzadko odwiedzanego Pasma Pewelsko-Ślemieńskiego, przez co pozostali egzaminowani ochrzcili go mianem piewcy tego rejonu. Sporym osiągnięciem ze strony Kuby było także pojawienie się na wszystkich obowiązkowych wyjazdach kursowych i wykładach. Na co dzień programista, który w swojej karierze nie bał się nawet wymagającej pracy na hucie.